GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 STYCZEŃ 1936 R.

NR. 1 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 1
1936 R.
1 — I

KROK I DROGA

Jeśli się na procesy gospodarcze spogląda nie pod kątem interesu i sytuacji poszczególnych jednostek gospodarujących, lecz pod kątem interesów kraju i narodu, to chwila bieżąca — zawsze, a dziś tembardziej — staje się przypadkowo tylko wybranym punktem na linji, biegnącej z przeszłości w przyszłość. To, co w języku potocznym nazywamy aktualną sytuacją czy aktualną polityką gospodarczą, jest przecież zawsze obarczone dziedzictwem przeszłości, a samo staje się dla lat przyszłych dziedzictwem dobroczynnem lub nieszczęsnem.

Różny jest walor praktyczny tej prostej prawdy. Mogą o niej bezkarnie zapominać kraje zasobne i zorganizowane. Kraje, którym warunki geopolityczne zapewniają bezpieczeństwo nawet bez bohaterskiego z ich strony wysiłku. Kraje, w których kryzysowy spadek stopy życia prowadzi masy do tego, co tam nazywa się nędzą, ale co my wahamy się nieraz — na tle naszej zwykłej niekryzysowej biedy — nazywać ubóstwem. W kraju mało obdarzonym przez naturę, w kraju położonym pomiędzy dwoma potężnymi sąsiadami, przeżywającymi spazmatyczny wysiłek przebudowy społeczno - gospodarczej o różnych celach, ale zawsze o olbrzymiej skali, w kraju, którego tradycje dają wiele pięknych kart, ale i wiele kart, które przekreślać trzeba, w kraju nierozwiązanych podstawowych problemów gospodarczych i socjalnych, a mówiąc najprościej, w kraju, który niedawno odzyskał niepodległość i nie zakończył budowy mocnych społeczno - gospodarczych zrębów — obowiązkiem jest patrzenie poza najbliższy etap wypadków.

Cóż dostrzegamy, usiłując tak właśnie na przełomie dwóch lat kalendarzowych spojrzeć na naszą rzeczywistość? Niewątpliwie mamy do czynienia z ogromnem wzmożeniem wysiłku polityczno-gospodarczego. Niewątpliwie usiłujemy w krótkim czasie i szybkiem tempie uprzątnąć nie jedno zaniedbanie lat ostatnich. Czy można byłoby jednak powiedzieć, że stanęliśmy już oko w oko z najistotniejszemi problemami, że wysiłek nasz objął już rozwiązywanie zagadnień podstawowych?

Bezwątpienia nie. Pod brzemieniem doraźnych konieczności, pod brzemieniem ciążących zaniedbań, dzisiejsza polityka gospodarcza nosi narazie charakter akcji doraźnej, zmierzającej do pewnego przynajmniej, choćby chwilowego uchwycenia równowagi, do usunięcia codziennej troski o deficyt kasowy w skarbie, codziennej troski o zahamowanie wzrostu bezrobocia, codziennej tro-

ski o chleb dla tego, kto go produkuje, dla chłopa. W znacznym i godnym wyraźnego uznania wysiłku Rządu znajdujemy dążenie do przywrócenia równowagi budżetowej przy utrzymaniu dotychczasowych zasad systemu podatkowego i dotychczasowego zakresu ingerencji Państwa; do obniżenia cen kartelowych przy utrzymaniu dotychczasowej struktury przemysłu; do ożywienia procesów gospodarczych przy utrzymaniu dotychczasowej polityki walutowej i kredytowej.

Można to sobie wyjaśniać tem lub innem. W każdym razie jednak nawet dla zwolenników daleko idącego rewizjonizmu teza, że najpierw należy uporządkować, a potem rewidować, może mieć wiele momentów przekonywujących. Co jednak jest uderzające, to to, że głosy społeczeństwa, czy to wtedy, gdy idzie o ocenę polityki rządowej, czy to wtedy, gdy idzie o wysuwanie postulatów grupowych, dalekie są od maksymalizmu, od krańcowości. Czyż nie jest pouczającem, że właściwie żaden z poważnych zwolenników nakręcania konjunktury w Polsce nie oświetlał tej drogi działania jako drogi, która w naszych warunkach prowadzić może do znacznego polepszenia sytuacji, lecz widział w niem jedynie środek pewnej poprawy. Czyż nie jest charakterystyczne, jak w gruncie rzeczy skromne są dezyderaty opinji wiejskiej czy opinji robotniczej. Można powiedzieć, że nad stanowiskiem dajmy na to związków zawodowych ciąży widmo bezrobocia, nie pozwalające żądać zbyt wiele dla zatrudnionych.

Można powiedzieć, zgodnie zresztą z rzeczywistością, że reprezentanci drobnego rolnictwa sami redukują swe postulaty, znając sytuację skarbową i wynikające z niej ograniczone możliwości ulg podatkowych czy pomocy kredytowej. Sądzimy jednak, że tkwi w tem coś więcej, niż wyraz doraźnego układu stosunków. Sądzimy, że powściągliwość, o której mowa, jest wynikiem tego, iż pod polskim kryzysem konjunkturalnym, pod tem bolesnem i długotrwałem lecz z natury rzeczy cyklicznem, a więc przejściowem zjawiskiem, kryje się zjawisko trwalsze, i bardziej jeszcze doniosłe — *polska bieda.*

Świadomość tej biedy rodzi na pewnym poziomie znajmości zagadnień gospodarczych powściągliwość nadziei i projektów. Poczucie tej biedy hamuje w szerokich masach społecznych żądania, przykrawując je na miarę naszych małych dzisiejszych możliwości. Stało się tak, iż owa bieda, pogłębiona jeszcze kryzysem, bieda, która nieraz popycha jeśli nie do śmiałych czynów to przynajmniej do śmiałych haseł, dziś onieśmiela, odsuwa na dalszy plan dalej idące projekty i ambicje.

Trudno nie uznać takiego stanu rzeczy za przejściowy. Trudno nie uznać, że poza i ponad zadaniem bliższem, już rozpoczętem, zadaniem uporządkowania gospodarki w obecnej fazie kryzysu, stoi problem większy i na dłuższe obliczony lata, problem walki z ową polską biedą. Problem gruntowniejszej przebudowy polskiej rzeczywistości gospodarczej, tak, aby osiągnąć wyższy poziom dochodu społecznego, aby uzbrojenie inwestycyjne kraju wzmóc, a jego siły produkcyjne pełniej wykorzystać.

Jeśli nie dziś, to najdalej jutro muszą stanąć na porządku dziennym sprawy i bolączki, których wagę i rozmiar uprzytomił nam kryzys, ale które istniały i przed nim, a będą istniały i po nim, o ile nie przestąpimy do ich rozwiązywania w szerokiej płaszczyźnie. Bezrobocie miejskie można w tej chwili niestety uważać już w znacznej mierze za strukturalne. Miljonowe przeludnienie wsi jest faktem, stojącym poza sporem. W tych warunkach na sprawy takie, jak przebudowa ustroju agrarnego, jak przebudowa struktury przemysłu i otworzenie nowych możliwości industrjalizacji, rewizja naszej polityki celnej, głębsza przebudowa gospodarki skarbowej i temu podobne problemy, wykraczające poza ramy walki o poprawę sytuacji gospodarczej w granicach jednego cyklu konjunkturalnego — nadszedł już czas.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

„POLITYKA KONJUNKTURALNA"—„POLITYKA STRUKTURALNA" I POLSKA RZECZYWISTOŚĆ

Polityka gospodarcza może stawiać sobie cele ograniczone do doraźnego oddziałania na daną fazę konjunktury. Może też dążyć do osiągnięcia głębszych i trwalszych efektów strukturalnych. Polska rzeczywistość gospodarcza i społeczna wymaga w zasadzie prowadzenia tej drugiej polityki.

Nie jest łatwe znalezienie przyczyn, które sprawiły, iż w ostatnich czasach dyskusje polityczno - gospodarcze coraz to częściej poruszają obok doraźnych zagadnień naszej kryzysowej konjunktury również i problemy fundamentów naszej struktury gospodarczej. Wydaje się nam, iż wpłynął na zjawisko to cały splot powodów: od atmosfery wewnętrzno - politycznej poprzez aktywność polityki gospodarczej rządu aż do momentów czysto, powiedzielibyśmy, „zewnętrznych" w rodzaju rozgłosu, jaki uzyskała w opinji analiza naszego położenia gospodarczego dokonana coram publico przez kierownika polityki gospodarczej obecnego rządu.

W gruncie rzeczy jednak pod wszystkiemi temi impulsami kryje się — sądzimy — pewne dość nieświadome jeszcze uczucie konieczności powzięcia *jakichś zasadniczych rozstrzygnięć* w dziedzinie samych *zasad* przebudowy gospodarczej kraju, uczucie, wynikające z rosnącego coraz to bardziej przeświadczenia, iż „normalne" rozwiązanie naszych trudności gospodarczych zaciąga się, iż nadejście wysokiej konjunktury światowej, któraby mogła nam rozwiązanie to ułatwić, staje się coraz bardziej niewymierne w czasie, a co więcej — last but not least — nawet nadejście tego rodzaju ułatwień *zasadniczego* zagadnienia gospodarczego nam prawdopodobnie rozwiązać nie będzie w stanie. T. zw. opinja gospodarcza w Polsce znajduje się w chwili obecnej w położeniu człowieka, który, odziedziczywszy przed niewielu laty nader trudny do zarządzania majątek, zdołał pod wpływem doraźnych trudności gospodarowania wyrobić sobie wreszcie pojęcie o rozmiarze czekającego go zadania — i waha się w tej chwili, *jaką drogą* ma rozpocząć doprowadzanie swych interesów do porządku. Być może, że jeszcze się chwilami łudzi, iż „jakoś to będzie" — zwłaszcza, skoro uda mu się szczęśliwie przebrnąć przez jedną czy drugą doraźną trudność. Jeszcze obiecuje sobie chwilami wielkie dobrodziejstwa po jakiejś pożyczce bankowej, która nań kiedyś spadnie. Ale już coraz częściej zdaje mu się, że ani dobrze przeprowadzona doraźna tranzakcja, ani uzyskanie wielkiego i taniego kredytu, ani nawet wysoka konjunktura dla towarów wytwarzanych przez jego przedsiębiorstwa nie potrafią w sumie dać mu dokładnego wysanowania jego interesów, o ile czegoś zasadniczego nie *zmieni* u podstaw jego gospodarowania... „Businessman" poczyna myśleć — strukturalnie.

Celem polityki gospodarczej każdego kraju jest, oczywiście, nie co innego, jak tylko uzyskanie maximum dochodu społecznego netto. Polityka ta stara się zatem w okresie ożywienia gospodarczego zwiększyć maksymalnie możliwości wzrostu tego dochodu, w okresie depresji — uniknąć wszelkiemi sposobami zbyt silnego jego skurczenia się. Chodzi, krótko mówiąc, o to, aby wznoszenie się na wyższy poziom przyszłego cyklu konjunkturalnego było najwydatniejsze, i aby spadek krzywej konjunkturalnej w epoce depresji nie poszedł tak daleko, że ponowny jej wzrost nie umiałby doprowadzić do wyższego poziomu kulminacyjnego niż w poprzednim cyklu. To wszystko jest słuszne. Ale słuszne tylko o tyle, o ile w przeświadczeniu kierowników polityki gospodarczej osiągnięcie maksymalnego dochodu społecznego netto możliwe jest właśnie przy *istniejącej* strukturze gospodarczej kraju. Przeświadczenie to musi wynikać albo ze stwierdzenia, że *obecny* poziom dochodu społecznego obraca się w maksymalnie osiągalnych granicach, że pozwolił on na zgromadzenie odpowiednio wielkich rezerw, które nie pozwolą w każdym razie w okresie depresji konjunkturalnej na załamanie się tego poziomu i ułatwią po przejściowym spadku ponowny jego wzrost, a wreszcie — iż wszelka zmiana struktury gospodarczej kraju obróciłaby się w tych warunkach na *niekorzyść* tego dochodu. Tak rozumować mogą (i muszą) kraje o *wielkim* stosunkowo dochodzie społecznym, kraje, gdzie obecny jego poziom wyrósł na podstawach nieprzerwanego organicznego przetwarzania się struktury gospodarczej w ciągu setek lat, — słowem kraje, posiadające w chwili obecnej „fory na starcie" w stosunku do innych współzawodników. Istotnie — trudnoby sobie wyobrazić, aby Wielka Brytanja, Francja czy np. kraje skandynawskie mogły prowadzić inną politykę gospodarczą jak tę, którą nazywamy „konjunkturalną".

Cóż jednak zajdzie, kiedy przeświadczenie kierowników polityki gospodarczej jakiegoś kraju pójdzie w kierunku stwierdzenia, iż na przeszkodzie uzyskiwania coraz to większego dochodu społecznego netto stoi w danym organizmie gospodarczym *mankament strukturalny?* Nie znaczy to, oczywiście, aby dana struktura uniemożliwiała *wogóle* powiększanie tego dochodu. Ale stwierdzićby można np., iż przy strukturze tej posuwanie się na wyższy poziom w okresie wysokiej konjunktury odbywa się stosunkowo niewielkiemi etapami, że — natomiast — okresy depresji stają się przy strukturze tej szczególnie dotkliwe, szczególnie długie — i posiadają znamiona, które uniemożliwiają łatwe wznoszenie się linji konjunkturalnej

na ów poziom wyższy od tego, na którym odbywał się poprzedni cykl.

Zagadnienie zatem sprowadza się do *czasu*, w jakim następuje zwiększanie się dochodu społecznego. Kierownicy polityki gospodarczej mogą, oczywista, zagadnienie to pominąć. Zależy to już jednak w znacznej mierze i od objektywnych warunków, w jakich żyje dany organizm gospodarczy (warunków nietylko gospodarczej natury...) — i od ich wewnętrznego przeświadczenia o możności lub niemożności zmiany podstaw tego stanu rzeczy. Można jednak wyobrazić sobie, iż dojdą oni do przekonania o konieczności *przyśpieszenia* procesu narastania dochodu społecznego, czego znów przy obecnej strukturze gospodarczej danego kraju osiągnąć nie zdołają. Wówczas to będą musieli albo uwzględniać w szerszej mierze niż dotychczas w swej polityce momenty strukturalne na niekorzyść konjunkturalnych — albo wprost zdecydować się na *politykę o celach strukturalnych*, którą dla wygody nazwijmy „polityką strukturalną".

* * *

Czem jest — teoretycznie — tego rodzaju „polityka strukturalna"? Niczem innem jak *pomijaniem* w rachubach polityczno - gospodarczych *wszelkich* momentów o charakterze konjunkturalnym — t. zn. wszelkich takich celów, które mierzą w doraźne i powolne narastanie dochodu społecznego. A to wszystko — w imię *przyszłego szybszego* jego wzrastania. Odpowiednikiem politycznym tej formuły jest hasło „wyrzeczenia się osiągalnego nawet w obecnych warunkach dobrobytu przez dzisiejsze pokolenie na rzecz pomyślności przyszłych pokoleń" Jakaż wreszcie jest jej treść techniczna?...

Techniczną jej treścią jest tego rodzaju oddziałanie na podział *majątku narodowego* albo na jego powiększenie i na tak radykalną zmianę podziału dochodu społecznego, które umożliwi w przyszłości wygospodarowywanie w *szybszem* tempie *większego* dochodu społecznego niż to się dzieje obecnie — przy dzisiejszym podziale albo przy dzisiejszych rozmiarach tego majątku. Przy oddziaływaniu takiem *nie bierze się pod uwagę ewentualnych przemian w rozmiarach obecnego dochodu społecznego.* Jego los jest w gruncie rzeczy obojętny — zwłaszcza, jeśli chodzi o warstwy społeczne, które w przeważającej mierze zeń obecnie korzystają. Polityka o celach konjunkturalnych wychodzi, jak widzimy, z zupełnie odmiennych założeń. Dla niej obecny dochód społeczny jest fundamentem powstawania przyszłego większego dochodu. Pielęgnuje się obecne jego źródła, aby rozrosły się one szerzej. „Polityka strukturalna" godzi się nawet z wyschnięciem tych źródeł, o ile wierzy, iż na tem samem miejscu trysną w zmienionych warunkach obfitsze. Mamy zresztą w najnowszej historji gospodarczej świata przykłady takiego działania.

Czemże jest w gruncie rzeczy szesnaście lat polityki gospodarczej ZSRR? Odrzućmy na chwilę na bok całą jej treść społeczną i zaobserwujmy sine ira et studio efekty czysto gospodarcze. Będzie to wtedy poprostu uprzemysłowienie kraju kosztem elementarnych niekiedy potrzeb konsumcyjnych jednego pokolenia. Tutaj mamy zatem odmienny podział majątku narodowego (a co za tem idzie i dochodu społecznego) w ramach *tej samej* jego masy. Ale może być i inaczej. Czemże jest bowiem gospodarczo dla Włoch wojna abisyńska? Abstrahujemy, rozumie się, w tej chwili i od jej widoków faktycznych i od całego tego balastu moralnego, którą ją obciążyła zręczna propaganda? W świetle czysto gospodarczem będzie to przecież tylko próba wielkiego podboju kolonjalnego, który w razie powodzenia rozwiązać może w znacznej mierze dwa najbardziej kapitalne dla Włoch zagadnienia bytu gospodarczego (surowce i rynek kolonizacyjny), próba—dokonywana przedewszystkiem kosztem obecnie istniejących we Włoszech sfer posiadających, ale w szerszej skali — wogóle całego obecnego pokolenia, żyjącego we Włoszech. Tutaj mamy zatem *wkład* materjalny w *powiększenie* majątku narodowego. Gospodarczo — i politykę sowiecką i eksperyment włoski zakwalifikowalibyśmy jako typową *politykę strukturalną.* Czy można będzie jako taką politykę zakwalifikować również i obecną politykę gospodarczą Niemiec, to dopiero przyszłość pokaże. W każdym razie pewne oznaki wskazują, że — tak. Bardzo nam, mianowicie, przypadły do przekonania rozumowania p. Kaleckiego ogłoszone niedawno w „Polsce Gospodarczej" o roli zbrojeń niemieckich w zjawisku niewspółmiernie małego wzrastania spożycia w Niemczech w porównaniu ze wzrostem produkcji. W tem też tkwi pewien element „strukturalności".

Treść polityczno - społeczną dopiero co omawianych przez nas zjawisk pomijamy jako w naszem rozumowaniu nieistotną. Albowiem nie jest w gruncie rzeczy istotny fakt zlikwidowania klas posiadających w Rosji przez rewolucję bolszewicką, skoro możemy założyć, iż rząd sowiecki mógłby nadal prowadzić w Rosji politykę konjunkturalną przy odmiennym tylko podziale *dochodu* społecznego. Polityka gospodarcza faszyzmu przechodziła z konjunkturalnej na strukturalną powoli w ciągu trzynastu lat — i to bez żadnego gwałtownego zmieniania układu sił społecznych w kraju. Inna rzecz, że w praktyce dla *możliwości* przeprowadzenia polityki strukturalnej „politicum" jest, oczywista, niezbędne. Ale to już wykracza poza obręb naszych dzisiejszych uwag.

Musimy więc dojść do wniosku, że i w wypadku sowieckim i w wypadku włoskim decydującą rolę odegrało *wyliczenie czasu*, w jakim możnaby było liczyć na zwiększenie się dochodu społecznego do mniejwięcej pożądanego poziomu (znów subjektywna ocena kierownictwa...), i stwierdzenie, że proces ten należy przyśpieszyć przez przekształcenie strukturalne. Przy prowadzeniu polityki konjunkturalnej i ZSRR i Włochy mogłyby teoretycznie mieć nadzieję, iż osiągną *kiedyś* swe cele bez tego wysiłku. Chodzi tylko o to — kiedy?...

W identycznej formie stoi zagadnienie i w Polsce. Posiadamy pewne jaskrawe wynaturzenia

strukturalne, które — oczywista — kiedyś powinny zniknąć. Nie można twierdzić, aby przy prowadzeniu, jak dotąd, wyłącznie polityki konjunkturalnej obliczonej na doraźne zwiększanie i ochronę przed uszczuplaniem obecnego dochodu społecznego nie można było — teoretycznie rzecz biorąc — zlikwidować kiedyś w Polsce strukturalnego bezrobocia. Zapewne — można. Ale zagadnienie jest wysoce skomplikowane. Jedni widzą jako ratunek absorbcję nadmiaru ludności wiejskiej przez przemysł. Inni, opierając się na bardzo przekonywujących danych, nie mają na takie rozwiązanie wielkiej nadziei i kładą główny nacisk na parcelację. Naszem zdaniem natomiast dla rozwiązania tego zagadnienia potrzeba by było, prawdopodobnie, i uprzemysłowienia i parcelacji i jeszcze wielu, wielu innych posunięć, które dopiero w sumie przy jednoczesnem stosowaniu dałyby, może, efekt w okresie możliwym do przewidzenia. Zagadnienie jest zbyt wielkie, żeby je traktować — nawet w dyskusji — odcinkowo.

Zwiększenie dochodu społecznego w Polsce jest trudne nietylko dlatego, że jest on w tej chwili rozpaczliwie mały. Już to samo zresztą starczyłoby za wszystkie przyczyny. Analogja z tajemnicą „pierwszego tysiąca dolarów" zarobionego przez amerykańskiego self - made - man'a nasuwa się tu z całą wyrazistością. Wielkie dochody zwiększają się szybko, małe — powoli. Ale nie w tem, zdaniem naszem, leży sedno polskiego problemu.

Leży ono, jak nam się zdaje, w paradoksalnym napozór fakcie, iż nasz dochód społeczny niezależnie od jego nieznaczności jest ponadto jeszcze *wyjątkowo nieproporcjonalnie* rozłożony. To stwarza dla polskiej polityki gospodarczej zadanie fantastycznie wprost ciężkie. O ile dysproporcja w podziale dochodu społecznego zachodzi w kraju, gdzie całość dochodu jest znaczna, zagadnienie jest o wiele łatwiejsze. Wystarczy wówczas obciążyć silniej dochód uprzywilejowany, a już sama ta korektura sprowadza odciążenie. Wielka Brytanja przechodzi obecnie piękne chwile ożywienia gospodarczego, utrzymując jednocześnie swobodnie 1,7 miljona bezrobotnych z ich rodzinami. We Francji, kiedy toczy się walka o poziom budżetu, lewica socjalistyczna może swobodnie radzić „qu'il faut prendre l'argent la ou il se trouve".

A w Polsce? Dalecy jesteśmy od jakiejkolwiek demagogji i powiedzieć musimy, że *tą drogą* ad infinitum iść nie sposób. Dysproporcja w obciążeniu dochodu społecznego poszczególnych warstw społecznych jest, być może, mniejsza niż dysproporcja podziału samego dochodu społecznego, ale niemniej jednak pozostaje o tyle ostra, że *rebus sic stantibus* nie wydaje się możliwe dalsze przerzucanie obciążenia na gałęzie produkcji, mające większy udział w dochodzie społecznym. Poprostu dlatego, iż sam przedmiot ewentualnych korektur jest *objektywnie* zbyt mały. Co gorsza, istnieje zawsze obawa, że obciążając go, zabija się właśnie tę kurę, od której spodziewa się złotych jajek. Nie wydaje się, aby normalna polityka konjunkturalna bez zmian strukturalnych mogła w tych warunkach wyjść poza ten circulus vitiosus...

Motor, ciągnący wielki wóz gospodarstwa narodowego Polski, jest za mały i zanadto obciążony. Może posuwać się naprzód tylko niezmiernie wolno. Nawet w razie stuprocentowego powodzenia wszystkich posunięć konjunkturalnych, przymknięcia nożyc, potanienia kredytu, ba — uzyskania kiedyś pożyczek zagranicznych i stale rozważnej gospodarki budżetowej uzyskamy tylko tyle, że wóz nie zatrzyma się albo że jego szybkość zwiększy się o ułamek kilometra. Poprostu zbyt mało ciągnie i zbyt wielu jest ciągnionych. A liczba tych drugich powiększa się z roku na rok.

Przypominamy sobie, że ktoś już zauważył, iż normalnie dochód społeczny każdego kraju przyrównaćby można do piramidy o rozległej i cienkiej dolnej warstwie i o stale zmniejszających się wszerz ale rosnących w wysokość warstwach górnych. W Polsce takiej piramidy niema. Istnieje olbrzymia i niezmiernie cienka — nieomal pajęcza — dolna podstawa, pośrodku której sterczy niewielka piramidka, niełącząca się żadną warstwą przejściową z owym „dołem". A dół ten — to dochód „netto" dwuch trzecich ludności Polski. Piramidka obrazuje dochód reszty.

Powstaje pytanie, *czy mamy czas*, aby w drodze niezmiernie powolnego organicznego rozwoju, w warunkach, kiedy naskutek konieczności państwowych (obrona kraju) piramidka *szybko* rosnąć nie może, mogła ona stopniowo niejako wydzielić z siebie ową warstwę pośrednią, która połączy ją z „dołem", tworząc w ten sposób bardziej czy mniej regularną piramidę? Że *kiedyś* to będzie mogło nastąpić — chętnie wierzymy. Ale kiedy? Czy sąsiedztwo krajów, które prowadzą *wręcz odmienną* politykę nie powinno naszych działań przyśpieszyć?

Przyśpieszyć może to tylko świadoma polityka strukturalna. Trzebaby powiedzieć sobie raz na zawsze, kto w Polsce musi *ponieść koszty przedewszystkiem*, kogo pociągnie się do świadczeń pomocniczych (jedna warstwa wysiłku nie podźwignie...), na czem będziemy budować — a więc co specjalnie ochraniać... Najprostszą odpowiedź mamy na pytanie, kogo ma się ratować: dwie trzecie ludności kraju.

HENRYK TENNENBAUM

MOTYWY RÓŻNICZKOWANIA DŁUŻNIKÓW I WIERZYCIELI

Uskarżanie się na wpływ motywów pozagospodarczych w ekonomji niczem nie różni się od postawy moralistów, uskarżających się na to, że przy realizacji ideałów duchowych przeszkodą jest grzeszne ciało.

Literatura gospodarcza ostro potępia tych władców, którzy w czasach dawniejszych podlili monetę i spłacali nią swe zobowiązania; jeszcze bardziej potępia tych, którzy poprostu oświadczali, że zobowiązań spłacać nie będą.

Złota waluta i uniezależnienie banków emisyjnych od rządów miało poczęści na celu zabezpieczenie się przed uznanemi za niegodne zabiegami Skarbu.

Nie zadano sobie jednak pytania, coby to było, gdyby władcy nie podlili monety, lub nie bankrutowali? Jak wtedy musieliby łupić podatkami biednych poddanych! Do czego by doprowadziło takie przeciążenie podatkowe? Być może, że nowe badania zrehabilitują podlących monetę władców.

Podstawowy pogląd o eliminacji niesprawnych przedsiębiorstw w trybie bankructwa wymaga szeregu zastrzeżeń i ograniczeń. Pomijając sprawę, czy związki publiczne, a zatem państwo, związki komunalne są sui generis przedsiębiorcami, czy też nie, trzeba stwierdzić, że ich działalność wyjęta jest spod normy bankructwa. Nad niewypłacalnem państwem niekiedy zagraniczni wierzyciele urządzają nadzór, co miało miejsce np. w Turcji przy pomocy instytucji Dette Ottomane, naogół jednak zaprzestanie wypłat przez związki publiczne nie pociąga żadnych poważniejszych konsekwencyj. Powszechnie się uznaje, że ważniejszem jest, aby związki publiczne wypełniały swe zadania publiczne, aniżeli, narażając na szwank ich wykonanie, wywiązały się ze swych zobowiązań.

Gdy w poszczególnym odłamie gospodarstwa narodowego przeważająca część przedsiębiorców nie jest w stanie wywiązać się ze swych zobowiązań, ustawodawca zwykle uchyla w stosunku do nich stosowanie normy bankructwa; taki wypadek zachodzi w Polsce w stosunku do drobnego rolnictwa, poczęści kooperatyw mieszkaniowych i t. p. Norma bankructwa ma ograniczony zakres stosowalności; gdy bankructwo mogłoby było dotknąć zbyt duży odsetek przedsiębiorców w danej gałęzi wytwórczości, ustawodawca cofa się przed niem. Stąd powstało ustawodawstwo antyegzekucyjne, konwersyjne i t. p.

Gdy dłużnikowi udziela się ulg, to ktoś musi ponieść koszty tych ulg. Niekiedy je ponosi wierzyciel, niekiedy zaś koszty ulg są przerzucane na całe gospodarstwo narodowe, a zatem na Skarb Państwa. w celu ochronienia wierzyciela od strat.

Ustawodawca odnosi się niejednakowo do poszczególnych kategoryj dłużników i wierzycieli; w ten sposób zjawia się segregacja dłużników i wierzycieli.

Przy segregacji odgrywają rolę motywy gospodarcze, socjalne, polityczne, moralne i t. d. Często nie jest łatwe stwierdzić jaki motyw odegrał główną rolę.

Tak np. przy udzielaniu ulg konwersyjnych drobnym rolnikom odegrał rolę szereg motywów. Motyw socjalny nie pozwala na usuwanie z roli zbyt dużej ilości gospodarzy, motyw moralny — na bezlitosne traktowanie słabszych jednostek gospodarczych, motyw polityczny — na wywoływanie niezadowolenia wśród licznej warstwy ludności, motyw gospodarczy — na zmniejszanie zdolności nabywczej dużej grupy ludności. Niewątpliwie wszystkie te motywy odegrały znaczną rolę i dlatego oddłużenie drobnego rolnictwa nie wywołało sprzeciwu.

Już przy ustalaniu norm konwersji w stosunku do większej własności rolnej nie było tej zgodności: przy panującym wśród większości społeczeństwa systemie ocen wysunięto przeciwko radykalnemu oddłużeniu większej własności motyw polityczny, moralny, socjalny, a w sprawie stosowania motywu gospodarczego występują duże różnice poglądów.

Przy stosowaniu zabiegów oddłużeniowych do wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, w szczególności wtedy, gdy wierzycielem jest z tytułu zaległości podatkowych Skarb, a z tytułu udzielonych kredytów — banki państwowe, występuje motyw socjalny, t. j. zamiar uniknięcia bezrobocia.

Ciekawem jest, że zamiar uniknięcia bezrobocia wskutek ewentualnego zamknięcia zakładu odgrywa niemal wyłącznie rolę wtedy, gdy zakład zatrudnia większą ilość robotników; rząd więcej obawia się skoncentrowanego bezrobocia, niż rozłożonego na szereg mniejszych warsztatów. Rząd naprzykład wszelkiemi sposobami będzie przeciwdziałał zamknięciu zakładu zatrudniającego 5.000 robotników, a względnie obojętnie będzie się odnosił do zamknięcia w różnych częściach kraju 100 zakładów, zatrudniających po 50 robotników. Być może, że gdyby wzięto pod uwagę w większej mierze motyw gospodarczy, to zachowanie rządu byłoby inne; faktem jest, że nie przeprowadzano nawet analizy skutków takiej metody ze stanowiska gospodarczego, gdyż dominował w pewien sposób ujęty motyw socjalny.

Tak samo i w stosunku do wierzycieli występuje cały szereg różnych motywów.

Uprzywilejowywanie Skarbu jako wierzyciela

tłumaczy się niewątpliwie poglądem ,przypisującym prymat skarbowi; na podstawie doświadczeń z czasów Rzeczypospolitej przed rozbiorami ugruntował się pogląd, że słaby Skarb był jedną z najpoważniejszych przyczyn upadku państwa; jako reakcja w Odrodzonej Rzeczypospolitej wytworzył się pogląd, że wszystko — dla skarbu. Dopiero ostatnio zaczyna być wypowiadany bardziej umiarkowany pogląd, że interesy Skarbu nie mogą być zaspakajane kosztem nadmiernego obciążenia gospodarstwa. Niewątpliwie motyw polityczny odegrał olbrzymią rolę przy traktowaniu Skarbu, jako wierzyciela.

Oprócz motywu politycznego odegrał dużą rolę przy traktowaniu wierzytelności Skarbu — motyw moralny. Należność Skarbu to grosz publiczny, a grosz publiczny należy traktować z pietyzmem. Wierzyciel ma prawo udzielać ulg dłużnikowi z własnej kieszeni; niekiedy ustawodawca udziela ulg dłużnikowi z kieszeni wierzyciela; ale Skarb, udzielając ulg, udziela ich jako pełnomocnik ogółu obywateli, a kierownicy Skarbu są, rzecz prosta, zmuszani przez opinję do traktowania grosza publicznego jako świętości.. Rzadko kiedy prywatny wierzyciel musi przezwyciężać tyle psychicznych oporów przy skreślaniu należności, jak kierownicy skarbu. Zaciekłość Skarbu przy ściąganiu należności przyczyniła się do powstania wielu anegdotek, wyszydzających bezwględność skarbu. Niekiedy się ma wrażenie, że Skarb jest bezwzględniejszy, niż kupiec wenecki, co wynika z pewnego pietyzmu dla grosza publicznego.

Skarb przy udzielaniu ulg zalegającym płatnikom kieruje się motywem gospodarczym; ze stanowiska finansowego Skarb niechętnie udziela ulg, obawiając się zachęcania dobrych płatników do zalegania z opłatą podatków w nadziei na uzyskanie w przyszłości ulg; odgrywa jednak tutaj rolę i motyw moralny; jakto, gorszy opieszały płatnik ma korzystać z ulg, których jest pozbawiony, z natury rzeczy, płatnik punktualny.

Gdy w grę wchodzi drobny wkładca lub instytucje kredytowe, reprezentujące jego interesy, to za ochroną drobnego wkładcy przemawia szereg motywów, motyw socjalny i moralny odgrywają bodaj największą rolę. Czyż można naruszać, chociażby w części, oszczędności gromadzone w trybie odmawiania sobie przez drobnego wkładcę rzeczy najpotrzebniejszych: naruszanie interesów drobnych oszczędności wywołuje głęboki protest moralny.

Niewątpliwie na rzecz ochrony drobnych wkładców przytacza się motywy gospodarcze, ale ten motyw nie ma znaczenia rozstrzygającego; uważam naprzykład, że przy pewnem postawieniu programu polityczno - gospodarczego należy niezmiernie szanować interesy drobnych wkładców, przy innym — raczej byłoby wskazane ich naruszenie.

Rzecz prosta, że przy ochronie interesów drobnego wkładcy odgrywa poważną rolę motyw polityczny. Być może, że wkładca odegra w historji politycznej taką samą rolę, jaką swego czasu odegrał płatnik podatków; gdy płatnik zrozumiał, że ciężary podatkowe są funkcją sytemu politycznego, zaczął się zajmować polityką i wysuwać hasła polityczne. Mam wrażenie, że nadejdzie moment, w którym wkładca zrozumie, że lokowanie środków przezeń złożonych odbywa się w myśl państwowej polityki lokacyjnej, na której kierunek wpływają zawsze motywy polityczne. Z coraz większą trudnością nowoczesne państwo jest w stanie zajmować w stosunku do wkładców dawniejszą postawę patrjarchalno - protekcyjną, powstałą w czasach, gdy stan drobnych oszczędności był niewielki, obecnie zaś drobne oszczędności odgrywają większą rolę, aniżeli fortuny bogaczy; wskutek tego coraz trudniej jest je ochronić od ryzyka tkwiącego w nowoczesnem gospodarstwie. Sprawa rozkładu tego ryzyka na poszczególne odłamy społeczeństwa jest sprawą polityczną; bardzo często drobny wkładca lubi podkreślać, że nie zajmuje się polityką, nie wiedząc, że polityka bardzo się nim zajmuje; nadchodzi moment, w którym wkładca będzie zmuszony do zajęcia się polityką.

Nietylko każda dyktatura, ale i parlamentarny ustrój francuski ubiera się z konieczności w szatę opiekuńczo - patrjarchalną, co nakłada na nią specjalne obowiązki w stosunku do wkładców. W Polsce naprzykład wskutek spadku cen realna wartość wkładów poważnie wzrosła. Odgrywa tutaj rolę i inny motyw czysto polityczny; okres pomajowy rozpoczął się pod znakiem stabilizacji waluty; z wielu zapowiedzi gospodarczych udało się dotychczas ziścić bez reszty tylko utrzymanie waluty; rzecz prosta, że obóz rządzący obstaje przy niej tak usilnie, i że trudno wypowiadać się objektywnie o doświadczeniach angielskich i amerykańskich.

Stosunek do przedsiębiorcy, choćby rzemieślnika, lub biura technicznego, będącego wierzycielem związku komunalnego, poddany jest w Polsce zupełnie innemu systemowi ocen. Zysk przedsiębiorcy nie zaskarbił sobie w Polsce sympatji. Motywacja moralna działa w kierunku upośledzenia interesów przedsiębiorcy. Oczywiście jeszcze gorzej jest traktowany prywatny kredytodawca, często stosunek do niego jest trochę tylko łagodniejszy, niż stosunek do interesów lichwiarza.

Być może, że ze względów gospodarczych należałoby bardziej szanować interesy, będącego wierzycielem przedsiębiorcy, aniżeli wkładcy. Przypuśćmy, że wkładca odejmując sobie od ust kawałek chleba, nagromadził oszczędności i pobiera w nagrodę bez kłopotów procent, ale wszak drobny przedsiębiorca nie korzystający z renty kartelowej też niekiedy pośród niezliczonych kłopotów, utrapień i udręczeń, pracuje, boryka się, często bez aprobaty moralnej ze strony niechętnie ustosunkowującego się do niego otoczenia.

Przy rozstrzyganiu spraw konwersyjnych odegrywają rolę panujące w danem społeczeństwie motywy moralne, socjalne, finansowe, polityczne i gospodarcze.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

HISTORJA, GEOGRAFJA I KARTELE

Geograficzne rozmieszczenie przemysłu, jego poziom techniczny i struktura kapitałowa na ziemiach polskich, są rezultatem przystosowania się trzech dzielnic Polski do rynków, potrzeb geografji trzech byłych cesarstw. Kartele i taryfy kolejowe konserwują tę strukturę, paraliżując gospodarczą presję nowych warunków rynkowych i geograficznych w ramach Państwa Polskiego.

Gdyby Polska w XIX wieku była państwem niepodległem w swoich dzisiejszych granicach, to mielibyśmy inne geograficzne rozmieszczenie przemysłu, inne nastawienie wytwórczości rolnej w poszczególnych dzielnicach, inne ukształtowanie sieci dróg i komunikacji, niż mamy obecnie.

Zapewne, rozmieszczenie bogactw naturalnych decyduje wyłącznie o lokalizacji niektórych gałęzi przemysłu, jak np. produkcji żelaza i węgla, ale i tu warunki, istniejące na obsługiwanym rynku, przesądzają o poziomie technicznym, stopniu koncentracji kapitału, rozmiarach przedsiębiorstw i formach organizacyjnych. W przemyśle przetwórczym natomiast warunki rynkowe, komunikacyjne i skupienia ludności decydują o rozmieszczeniu geograficznem przedsiębiorstw w stopniu znacznie większym niż rozmieszczenie bogactw naturalnych.

Przemysł, handel i komunikacja na ziemiach polskich rozwijały się w trzech zaborach w ciągu XIX wieku, niezależnie od siebie, w nastawieniu na trzy różne rynki, w oparciu o różne bazy surowcowe, (gdyż o bazie surowcowej często decydują granice państwowe) w ramach odmiennych systemów celnych. Bazy surowcowe, rynki i cła stwarzały odmienne kształtowanie się elementów kosztów produkcji i odmienną kalkulację rentowności, z czego wynikał również inny poziom techniki produkcji.

Powstanie Niepodległej Polski połączyło trzy dzielnice w jeden organizm państwowy, który stał się nowym rynkiem głównym, dla wszystkich gałęzi wytwórczości na tym obszarze. Między dawnemi rynkami zbytu oraz bazami surowcowemi przemysłu Kongresówki i Śląska, między rynkami zbytu produktów rolnych Poznańskiego wyrosły granice celne i państwowe. Granice te zdrutowały mechanicznie trzy systemy gospodarcze o różnej technice wytwarzania, o różnej mentalności gospodarczej, strukturze organizacyjnej, stopniu koncentracji kapitału, intensywności uprawy rolnej, stopie życia ludności, wydajności pracy i t. d. i t. d.

Siłą rzeczy nasuwa się wniosek, że polityka gospodarcza Polski, idąc po linji najżywotniejszych interesów państwowo - politycznych powinna zmierzać do tego, by po mechanicznem zdrutowaniu trzech dzielnic przyśpieszać i popierać proces ich organicznego zrastania się.

Trzy są fakty w naszej nowej rzeczywistości, które wpłynęły w sposób ważki na proces organicznego zrastania się i tem samem na tworzenie nowej geografji naszego przemysłu i handlu, a tem samem, gdyż mowy być nie może o organicznem zrastaniu się bez zmian w geografji gospodarczej, zmian, zgodnych z geografją polityczną Nowej Polski. Te fakty, to mur monopolu handlu zagranicznego ZSRR, wojna celna z Niemcami i stworzenie Gdyni. Pierwsze dwa fakty zostały nam narzucone zzewnątrz, tylko trzeci jest świadomie podjętą i wykonaną konsekwencją nowego układu gospodarczej i politycznej mapy Europy. Gdynia i linje kolejowe do Gdyni to właśnie *nowa geografja* naszego transportu i handlu w stosunkach z zagranicą. Sprawa jednak zmian w wewnętrznej strukturze geograficzno - gospodarczej przedstawia się znacznie gorzej.

Kluczowe przemysły w Polsce, to przemysł węglowy i żelazo - hutniczy. Jednolite geograficznie polskie zagłębie węglowe, rozpada się na dwa obszary gospodarcze — Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie — ściśle według granicy zaborów. Śląsk rozwijał się w ramach Niemiec, konkurując z zagł. Westfalskiem i Nadrenią, które w odniesieniu do produkcji hutniczej były sytuowane nieporównanie lepiej, gdyż miały blisko rudę żelazną, podczas gdy Śląsk musiał rudę przywozić zdaleka. Konkurencja z Westfalją i Nadrenją zmuszała Śląsk do wytężonej walki drogą usprawnienia techniki wytwarzania, integracji procesów wytwórczych i daleko posuniętej koncentracji kapitałowej. Stąd mamy na Śląsku koncerny przemysłowe należące do największych w Europie. W Kongresówce natomiast, w warunkach rosyjskiej polityki wysokich cen surowców i półfabrykatów, chronionych cłami protekcyjnemi, powstawały przedsiębiorstwa mniejsze, o niższej strukturze kapitału i wyższych kosztach produkcji, ale tem nie mniej bardzo rentowne. Pozbawiona, podobnie jak Śląsk, własnej rudy Kongresówka przerabiała częściowo surówkę rosyjską, i dlatego wytwórczość hut i stalowni w Kongresówce nie była ze sobą zharmonizowana i nie zawsze połączona w jednem przedsiębiorstwie. Połączenie w jednych granicach państwowych tych dwuch dzielnic o tak odmiennej strukturze gospodarczej przemysłu, z tem, że miały one teraz wspólny rynek zbytu, prowadziłoby do zwycięstwa w walce konkurencyjnej strony silniejszej technicznie, organizacyjnie i kapitałowo. Zapobiegła temu przymusowa kartelizacja.

Znamy przesłanki takiego rozwiązania sprawy i warunki, w jakich ono nastąpiło. Rzecz jest w tem, czy tak ma trwać zawsze. Kartelizacja przemysłu węglowego i żelaznego petryfikuje w zakresie gospodarczym granicę zaborczą. Powoduje, jak w carskiej Rosji, wysokie ceny węgla i żela-

za w zupełnie odmiennych warunkach, gdyż w Rosji produkcja tych wytworów była niedostateczna i chodziło o przyciągnięcie, celem jej rozwoju, kapitałów obcych, nasz zaś aparat wytwórczy jest w stosunku do możliwości zbytu zaduży. Wysokie ceny węgla i żelaza hamują rozwój przemysłu przetwórczego, a „podwyższając kalkulację kosztów produkcji", spychają wdół płace robocze, oraz świadczenia socjalne. Obniżka cen, bez rozwiązania karteli, a więc bez poprawy rentowności przemysłu węglowego i hutniczego, traktowanego jako całość, jeszcze bardziej pogłębia ten proces, jak wynika z aktualnych prób obniżania zarobków. Rozwiązanie zaś karteli przyniosłoby zwycięstwo w walce konkurencyjnej przedsiębiorstwom pracującym rentownie, a więc takim, które mogą wytrzymać ciężar świadczeń socjalnych i płac.

Jednym z głównych czynników, wpływających na geograficzne rozmieszczenie przemysłu, są koszty transportu. Obsługiwanie obszaru polskiego przez przemysł, powstały w innych granicach państwowych i gospodarczych, wymaga innej kalkulacji kosztów przewozu, niż ta która służyła za podstawę kalkulacji przy zakładaniu tych przedsiębiorstw przemysłowych. Dotyczy to kosztów przewozu zarówno surowców do miejsc ich przerobu, jak i wyrobów do miejsc zbytu. Dla uregulowania tych zmian w odległościach geograficznych, jakie powstały wskutek utworzenia Państwa Polskiego, przystosowano odpowiednio odległości gospodarcze, t. zn. taryfy kolejowe, mianowicie ustalono niskie taryfy dla wywozu artykułów skartelizowanych, w szczególności węgla i żelaza, do miejsc zbytu i surowców przemysłowych do miejsc przerobu (np. papierówki). Taka budowa taryf petryfikuje odziedziczone rozmieszczenie przemysłu i utrudnia jego powstawanie w rejonach, jaknajlepiej do tego predystynowanych pod względem położenia na dzisiejszym obszarze Państwa Polskiego. Co więcej, tani węgiel opałowy wypiera drzewo opałowe na kresach, odbierając zarobek miejscowej ludności, co w sumie z wyposażeniem surowca dzięki niskim taryfom stwarza system kolonjalnej eksploatacji Kresów. Gdyby np. do papierówki była stosowana normalna taryfa proporcjonalnie do odległości, to papiernie zaopatrywane dawniej z obszarów Czechosłowacji musiałyby się przenieść na południowo - wschodnie Kresy. Nowe przedsiębiorstwa przemysłowe powstające w Polsce uwzględniają w swej kalkulacji koszty przewozu według istniejących taryf i wskutek tego budują się często w starych rejonach przemysłowych. Dodajmy do tego, że w rejonach tych rozwija się również przemysł przetwórczy, związany z węglem i żelazem, gdyż otrzymuje surowiec w trybie własnego spożycia taniej, niż przedsiębiorstwa przetwórcze samodzielne, położone w innych rejonach, mających nie gorsze a nawet lepsze warunki wytwórcze w zakresie wszelkich innych elementów kalkulacji poza ceną surowca. W ten sposób odziedziczone nieprzystosowanie geografji przemysłu do geografji państwowo - politycznej w Nowej Polsce pogłębia się na wielu odcinkach.

Gdybyśmy naprzykład przyjęli takie hypotetyczne założenie, że w Polsce został na dziesięć lat wprowadzony kompletny liberalizm gospodarczy, to geografja gospodarcza Polski zmieniłaby swe oblicze. Prawdopodobnie na Kresach Wschodnich rozwinąłby się przemysł przetwórczy, oparty na surowcu miejscowym, a częściowo, dzięki taniości rąk roboczych i na przywożonym. Wywołałoby to emigrację kwalifikowanych sił technicznych z dawniej uprzemysłowionych, a więc rdzennie polskich okręgów, na Kresy, co ze swej strony podniosłoby tam odsetek polskiej ludności, zaszczepiłoby atrakcyjność polskiej kultury, niezbyt szczęśliwie dotąd reprezentowanej przez szkolnictwo i administrację, wiszące dotąd w próżni bez podbudowy gospodarczej. Czysto handlowa kalkulacja taryf przewozowych (za wyjątkiem portowych) stworzyłaby warunki do rozwoju dróg, gdyż różnica w kosztach przewozu byłaby dostatecznie duża. Ośrodki bezrobocia zostałyby częściowo rozładowane a zwiększona rentowność czynnych warsztatów pracy dałaby środki na pomoc dla przejściowego wzrostu bezrobocia w wyniku zamknięcia warsztatów nierentownych. Zresztą rentowność wzmogłaby kapitalizację, czyniąc ją i możliwą i celową, a więc wytworzyłyby się warunki dla stopniowego „rozessania" tego bezrobocia.

Też same wyniki możnaby osiągnąć w drodze zorganizowania np. przez trustyzację przemysłu i planową dyslokację przedsiębiorstw według *naturalnych* a nie *sztucznie* stworzonych elementów kalkulacji.

Konserwowanie odziedziczonej struktury geograficzno - gospodarczej drogą kartelizacji i polityki taryfowej, uzasadnione w pierwszych latach istnienia Niepodległości Polski, gdy więzi z dawnymi rynkami zbytu, źródłami surowców i ośrodkami dyspozycji były zbyt żywe i silne, dziś coraz bardziej traci swą rację, jeśli chodzi o Śląsk; utraciło ją tem bardziej, jeśli chodzi o województwa centralne, gdyż rozwój gospodarczy i polityczny byłych zaborów sam zerwał te więzi. Pewne procesy organicznego zrastania się b. dzielnic zaborczych już zaszły i dziś warunki wydają się już wpełni dojrzałe do tego, by poprowadzić świadomie ten proces do logicznego zakończenia.

Logika rzeczy bowiem wymaga, by Polska pod względem gospodarczym była czemś nowem i swoistem, — nie mechaniczną sumą trzech byłych zaborów — tak, jak jest już czemś nowem pod względem politycznym.

UWAGI

T. ZW. PROGRAM WSCHODNI

Był czas, kiedy się zdawało, że powstanie polski, rodzimy Ost - Sofort - Programm. Nie chodziło o małpowanie Rzeszy Niemieckiej, tak istotnie czułej na punkcie swych wschodnich rubieży, lecz o świadomą skromną akcję, mającą na celu podźwignięcie gospodarcze dzielnicy, która — bez względu na to, gdzie się znajduje pod względem geograficznym — znalazła się *w czasie* poza przeciętną rowoju ekonomicznego całej Rzeczypospolitej. Niewątpliwie, korygowanie tak geografji, jak i historji, nastręcza niebylejakie trudności, a częstokroć jest wręcz niewykonalne. Inna natomiast sprawa, gdy się całą siłę uderzenia skieruje na rozwiązanie problemu, któremu na imię: polska współczesna, nowożytna racja stanu (w sensie chociażby tylko gospodarczym). Przecież pod tym względem nie jesteśmy zbytnio skrępowani i w zasadzie możemy robotą t. zw. od podstaw kierować w czasie, a przedewszystkiem w przestrzeni tak, jak to najbardziej owej racji stanu zdaje się odpowiadać.

Bo proszę wziąć pod uwagę jedną drobną okoliczność: bierność ekonomiczną ziem wschodnich. Może mi p. J. Poniatowski, weźmie za złe, że piszę o „bierności", nie da się jednak zaprzeczyć, iż chłonność wewnętrznego rynku wschodniego i południowo - wschodniego jest w praktyce b. szczupła, co ma kolosalne — i, rzecz prosta, ujemne — znaczenie dla przemysłu w pozostałej Polsce.

Ale jak tę bierność zlikwidować czy choćby tylko zmniejszyć? — Analogję z ziemiami wschodniemi dadzą nam stosunki w skali europejskiej czy nawet — światowej. Dźwignią postępu krajów, zacofanych gospodarczo, była zawsze ich industrjalizacja, wynikająca z tanich surowców i robocizny. Kapitał, który szuka zysków, szedł z krajów przeinwestowanych do krajów o słabym rozwoju przemysłu, inwestował się w nich i tą drogą stwarzał brakujący popyt na towary przemysłowe krajów uprzemysłowionych. Pozornie absurd, praktycznie — jedyne wyjście.

Gospodarcze dźwignięcie naszych województw wschodnich i południowo - wschodnich może nastąpić jedynie, a w każdym razie przedewszystkiem poprzez industrjalizację tychże województw. Ich warunki przyrodzone nie są, zapewne, tak korzystne, jak Wenezueli lub Unji Południowo - Afrykańskiej, niemniej posiadają one szereg cennych bogactw naturalnych z drzewem na czele, przyczem tylko nieufność do geologicznych możliwości takiego np. Wołynia spowodowała, że badania nad pokładami węgla są prowadzone b. opieszale. Ale zato ziemie wschodnie posiadają kolosalny atut w ręku, którego brak innym częściom Polski: niezwykle tanią siłę roboczą. Przeciętne zarobki za 1 godzinę w wielkim i średnim przemyśle przetwórczym (sierpień 1934 r.) wynosiły: 90 gr. w Warszawie, 72 gr. na Śląsku, 64 gr. w woj. Krakowskiem i t. d., ale 49 gr. w Tarnopolskiem, 42 gr. w Poleskiem, 37 gr. w Wołyńskiem i 35 gr. w Stanisławowskiem. Robocizna województw wschodnich i południowo - wschodnich jest o $\frac{1}{3}$ — $\frac{1}{2}$ tańsza od robocizny w dzielnicach środkowych i zachodnich. A to daje w naszych warunkach miarę niebylejaką.

Jednak nic się nie zmienia, przemysł się nie decentralizuje. Kamieniołomy wołyńskie i rozwój Lidy są wyjątkiem, potwierdzającym regułę. Jakże może być inaczej, skoro państwowa polityka gospodarcza niezbyt się temi kwestjami przejmuje. Taryfy kolejowe są tak ułożone, że papierówka z Huculszczyzny jest przerabiana wszędzie, tylko nie na Huculszczyźnie; kaolin wołyński pójdzie za Wisłę... Jednocześnie zniżkowe taryfy węglowe grożą drzewu opałowemu ziem wschodnich, które zgnije lub jeszcze bardziej spadnie w cenie. Jednocześnie działają wysokie taryfy na przywóz do ziem wschodnich brakujących im surowców i półfabrykatów. Jednocześnie niskie taryfy na przywóz towarów gotowych zabijają możliwości wytwarzania tych towarów właśnie w województwach wschodnich i południowo-wschodnich. Jednocześnie — aczkolwiek cierpiemy teraz z zupełnie innej „beczki" — ciężar utrzymania samorządu gospodarczego (zwłaszcza izb rzemieślniczych) jest większy na wschodzie, niż w centrum i na zachodzie Polski, chociaż sytuacja przemysłu, handlu i rzemiosła wymagałaby pomocy samorządu dla życia gospodarczego a nie dopłat w kierunku odwrotnym. Jednocześnie (tu jeszcze inna „beczka") nie zrealizowano do tej pory obietnic z przed lat 4-ch, że Państwo ograniczy gorzelnictwo w Poznańskiem a rozwinie na Wileńszczyźnie...

Polski „Ost - Programm" skończył się na utworzeniu Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich, którego pożyteczna skądinąd działalność ograniczyła się do: a) przesyłania książek w ilościach, które nasuwają porównanie do „kropli w morzu": b) urządzania wycieczek p. n. „Lato na Ziemiach Wschodnich" oraz c) sprowadzania do rdzennej Polski kilkuset chłopaków białoruskich i tyluż dorosłych poleszuków. Ponadto przeprowadza się naukowe badania folkloru, języka etc. ludności, zamieszkującej ziemie wschodnie, oraz wysłuchuje skarg polaków z woj. południowo-wschodnich, którzy znajdują się w odwrocie i oczekują pomocy raczej z nieba, niż z Warszawy.

Plany kolonizacji ziem wschodnich nie udały się. Osadnictwo rolne, aczkolwiek zakrzepłe i mocne (głównie na odcinku osadnictwa wojskowego), jest również „kroplą w morzu" i na podniesienie się gospodarczego poziomu tych ziem wpływ wywarło minimalny. O osadnictwie rzemieślniczem, które rozpoczęło się i skończyło w Lidzie, lepiej nie wspominać, tak było kosztowne i mało efektowne. Nie tędy więc droga... Pozostaje jedno tylko wyjście: uprzemysłowienie ziem wschodnich, stworzenie nowego i rozwój dotychczasowego przemysłu w skali jeśli nie wielkich, to w każdym razie średnich i małych warsztatów przemysłowych

i idących w ślad za niemi — rzemieślniczych. Industrjalizacja taka miałaby jeszcze — poza ekonomicznemi — i polityczne skutki, wiązałaby bowiem w mocniejszą całość różnorodne pod względem narodowościowym obszary Rzeczypospolitej i działałaby anty - toksycznie na *fakty*, które dzieją się na prawo od linji Dzisna - Okopy św. Trójcy...

K. Brodnicki.

CENY, ZASTRZEŻENIA, DEFETYZM

P. Józef Poniatowski w numerze 24 „Gospodarki Narodowej" postawił memu o miesiąc wcześniej drukowanemu artykułowi p. t. „Ceny" kilka zarzutów szczegółowych i jeden ogólny. Pomimo miłych słów uznania zarzuty mają charakter koncentrycznej ofenzywy, bowiem p. P. dojrzał w moich wywodach zarówno zbyt daleko posunięte uproszczenia, jak i pewne sprzeczności, jak przedewszystkiem możliwość osłabienia energji społecznej, kondensującej się około walki o ceny kartelowe.

Przeciwko zarzutowi uproszczeń nie chciałbym się w zasadzie bronić. Wszelka publicystyka jest sztuką upraszczania. Tem się różni artykuł publicystyczny od wykładu naukowego, że dla plastyki i przystępności wniosków przesłanki upraszcza. Błąd zaczyna się dopiero z chwilą, kiedy upraszczanie przesłanek paczy wnioski. Muszę zaś stwierdzić, że uwagi krytyczne pana P. nie skłaniają mnie do rewidowania moich wniosków. Wdzięczny jestem za drobne retusze, takie np. jak przypomnienie, że w stosunku do wywozu artykułów kontyngentowanych jednak pewną rolę kwestja poziomu cen odgrywa. Istotnie. Zamiast użyć wyrażenia „nic nie daje", należało powiedzieć „prawie nic nie daje", albo „daje bardzo niewiele". Wdzięczny jestem również za mimowolne potwierdzenie mego stanowiska w innej sprawie. Kwestjonując mój pogląd, iż „deflacja w najmniejszej mierze nie przesądza o usunięciu pewnych anomalji w kosztach", p. J. P. powiada, że „przebieg dotychczasowych kryzysów deflacyjnych wskazuje na coś wręcz przeciwnego", gdyż w gałęziach narażonych na konkurencję usuwane są przerosty i marnotrawstwo. Skoro p. J. P. wskazuje tu expressis verbis gałęzie, narażone na konkurencję, t. zn. iż podziela mój pogląd, że w gałęziach nie narażonych na konkurencję tej roli deflacja nie spełnia. Otóż w następnem zdaniu po zakwestjonowanem przez p. J. P. wyjaśniałem, iż przez owe „pewne anomalje", których deflacja nie usuwa, rozumiem przerosty w przemyśle skartelizowanym, największe i najważniejsze dla całości gospodarki. Więcej nawet, twierdziłem, a p. J. P. mimowoli podtrzymuje mnie swemi uwagami, iż deflacja, działając na terenie wolnokonkurencyjnym, a nie działając na terenie skartelizowanym, wzmaga dysproporcje, wzmaga rozpięcie pomiędzy cenami sztywnemi a wolno-konkurencyjnemi.

P. Poniatowski zupełnie słusznie rozbija pogląd, jakoby powiększanie obciążeń publicznych było sprzeczne z ideją postępu gospodarczego. W tej sprawie jesteśmy zupełnie zgodni. Jeśli zaś czytelnik artykułu pana J. P. mógł rzekomo inaczej sądzić o mojem stanowisku, to poprostu dlatego, iż owo „moje stanowisko" nie zostało zaczerpnięte z tekstu mego artykułu, lecz jedynie z tego tekstu wyprowadzone przez mego oponenta. Być może, że nieporozumienie, którego nie ustrzegł się pan Poniatowski jest przezemnie zawinione. Nie wgłębiając się w tę nawiasową rzecz, zaznaczę tu tylko, że oczywiście nie jest postępem samo zmniejszenie obciążeń publicznych, jest nim natomiast uzyskiwanie tych samych świadczeń publicznych mniejszym nakładem.

Ostatnie ze szczegółowych zastrzeżeń p. J. P. ma charakter najważniejszy. W artykule swym byłem i jestem nadal zdania, że obniżka cen w złocie nie jest równoznaczna ze zmniejszeniem nakładu gospodarczego, dla otrzymania danego wytworu i nie wyklucza zachowania marnotrawstwa. Wobec czego nie można jej przypisać innej roli praktycznej, jak w płaszczyźnie obrotu międzynarodowego. Oczywiście zgodnie z całokształtem artykułu przez obniżkę cen w złocie rozumiałem obniżenie ogólnego poziomu cen. W ten sposób ustaliłem swoją definicję i w ten sposób jej używałem. Wszelka definicja jest kwestją umowy, chodzi tylko o to, by była stosowana jednolicie. Pan J. P. nie zechciał przyjąć mojej klasyfikacji, przystępując do krytyki moich wywodów. Ja jednak przy niej trwam i twierdzę nadal, że o ile np. obniżka cen kartelowych przy zachowaniu dajmy na to niezmienionego poziomu cen wolno - rynkowych będzie prowadziła do likwidacji przerostów i marnotrawstwa, stając się czynnikiem ożywczym, o tyle obniżka cen w złocie ,rozumiana tak, jak ten termin w swoim artykule pojmowałem, podobnej roli odegrać nie może. Jeśli dążyć do pełnej ścisłości, mierzyć nie na dekagramy, lecz na gramy, to obok efektów dla obrotu międzynarodowego, obniżka cen w złocie wywołuje jeszcze, jak to słusznie zauważył p. J. P. zmianę stosunków wartości realnych i nominalnych. Zmiany tej zupełnie świadomie nie wyliczyłem wśród praktycznych skutków obniżki cen w złocie, uważam ją bowiem za skutek jak najbardziej niepraktyczny. Zmiana ta, to poprostu zwiększenie ciężaru długów i temu podobnych obciążeń sztywnych, a zatem czynnik hamujący poprawę.

Rozumiem, że uwagi powyższe są zbyt sumaryczne, ażeby mogły doprowadzić do uzgodnienia poglądów. Niezmiernie tego żałuję, ze względu na osobę mego oponenta. Chciałem jednak przedewszystkiem poprostu skorzystać z prawa, przysługującego publicyście, dla zaznaczenia, iż krytyka mego stanowiska nie nasuwa mi konieczności rewidowania poglądów. Tyle co do zastrzeżeń szczegółowych.

Obok nich p. J. P. postawił mi zarzut z płaszczyzny taktycznej, zarzut który byłby przykry, gdyby był słuszny. Jeśli pominąć różnice wywodów, a ograniczyć się do końcowych wniosków, z p. J. P. łączy nas głębokie poczucie konieczności obniżki cen kartelowych. Pomimo tego wyraziłem

wątpliwość czy wiele w tym kierunku zostanie zdziałane, i czy wiele zdziałane być może. Mój oponent uznał tego rodzaju wątpliwości za niebezpieczne, radząc mi siedzieć z niemi cicho, aby nie zmniejszać sprawności bojowej hufca, który właśnie rozpoczął potyczkę z cenami kartelowemi. Przyznaję się — byłem defetystą. Defetystą trochę lepszego gatunku, bo takim, co nie przestaje wzywać do ofenzywy. Przyznaję się bez wstydu. Nie sądzę, ażeby publicystyce gospodarczej danem było odgrywać aż tak wielką rolę, by mogła ona zaważyć na losach polityki cen kartelowych. A jeśli tak, to myślę, że na szali zaciążył więcej dobry dziesiątek moich artykułów (pod innym podpisem) poświęconych postulowaniu obniżki cen kartelowych, niż jeden, czy dwa, oddające się przewidywaniom i ocenie możliwości. Ważne jest natomiast co innego. Rzeczywistość opowiedziała się po stronie pesymistów, zniżka cen kartelowych w sumie jest dość odległa od tego, co p. Poniatowski, w innym zresztą artykule, przewidywał, i dość odległa od tego czegośmy się obaj domagali. W związku z tem powstaje kwestja, co robić dalej? Czy od zniżki w mniejszej skali można oczekiwać tych rezultatów, jakich oczekiwano od zniżki w skali większej?

Problem jest szeroki. Zbyt szeroki, by go tu omawiać. Pragnę jednak stwierdzić, że do mych sceptycznych rozważań nie skłoniła mnie „gorzka radość pesymizmu", lecz konieczność wyciągnięcia wniosków z faktu, iż obniżka cen kartelowych nie będzie względnie nie jest tak znaczna, jakbyśmy sobie tego obaj z p. Poniatowskim życzyli.

Tomasz Kornicz.

WŁADYSŁAW DIAMAND

KRYZYS I POLITYKA*)

W poprzednim rozdziale stwierdziłem, że proces nieustannego narastania ryzyka kryzysowego jest uzasadniony m. in. niewłaściwym podziałem zawodowym ludności krajów wysoko - cywilizowanych. Coraz więcej ludzi znajduje podstawę swej egzystencji w zawodach, które podczas kryzysów stają się całkowicie lub częściowo zbędnemi.

Uniknąć można zła tylko wtedy, gdy ludzie tracący pracę zbędną, mogą znaleść pracę inną. W czasach kryzysowych nie rozchodzi się już nawet o to, by nowa taka praca była pracą na nowe jakieś potrzeby rynku, lecz by pozwalała ona tym ludziom wyrzuconym z dawnej pracy, własną pracą zaspokoić chociażby najbardziej niski poziom własnych ich prapotrzeb. W większości wypadków warunek ten pokrywa się z warunkiem zdolności zejścia z gospodarki rynkowej na teren gospodarki indywidualnie, w zakresie znacznej części prapotrzeb, autarkicznej.

Dla uniknięcia ryzyka narastania kryzysów nie wystarczy ani tworzenie kapitałów na czarną godzinę, ani nawet gromadzenie w ręku społecznem wielkich zapasów. Kapitał jest tylko tytułem prawnym do cudzych świadczeń, którego wartość maleje wraz z malejącem tempem życia gospodarczego, a wartość nagromadzonych zapasów zależy nie tylko od ich wielkości, ale też od tego co się okaże siłą większą, czy moc istniejącego porządku prawnego, czy rozsadzające wszelki porządek prawny siły desperacji kryzysowej szerokich mas.

Należy zatem stale pamiętać o tem, że żadne normy prawnej natury jako takie nie wystarczą dla opanowania ryzyka narastania kryzysów. Obojętnemi dla tych spraw są zagadnienia prawno - konstytucyjne, formy rządzenia, a prawie obojętnemi nawet sprawy ustrojowe. Nie rozchodzi się tu o sprawy podziału praw lub własności, lecz tylko o sprawy podziału pracy, o prawo do minimum pracy pozwalającego w najgorszym wypadku samemu pokryć własne prapotrzeby.

Z tego punktu widzenia, obok nieprawidłowego kierunku rozwoju podziału zawodowego ludności — równie wielkiem złem i niebezpieczeństwem jest nieustanny postęp urbanizacji krajów cywilizowanych, zwłaszcza zaś jego forma tworząca wielkie miasta.

Mieszkańcy takich wielkich miast są prawie zawsze odcięci od wszelkiej możności samodzielnego pokrywania swoich prapotrzeb, najgorszy nawet podział zawodowy tej ludności jest jakby utrwalony również na czasy kryzysowe. Wielkie miasta są piętą Achillesa lub garbem współczesnej naszej cywilizacji z punktu widzenia jej bezpieczeństwa kryzysowego. Paradoksem i głupotą jest chełpienie się obecnej cywilizacji szybkiemi postępami rozrostu takich miast. Ich powstawanie i rozwój pomyślny uzależnia ludzkość coraz bardziej od drugiego bieguna żywiołów. Popadamy coraz bardziej pod dyktaturę psychologicznych odruchów ludzkości, nad któremi w chwili obecnej znacznie mniej umiemy panować, niż nad żywiołowemi siłami przyrody, z pod działania których coraz bardziej uciekamy. Trudno dziś przewiedzieć, która niewola jest dla rodzaju ludzkiego groźniejszą, wiemy tylko, że każda z nich jest pełna przerażających nas klęsk. Możemy poniekąd mierzyć szybkość z jaką oddajemy się pod władanie żywiołu nieopanowanej własnej psychologji. Miarą taką będą poniższe cyfry:

*) Wyjątki z pracy pod powyższym tytułem; patrz Nr. 24 — 1935.

Ludność miast o ponad 100.000 mieszkańców

K R A J	1900	1910	1920	1930	% ludności ostat. spisu
Stany Zjednoczone	14.107.000	20.328.000	27.430.000	36.326.000	28,8%
Rosja . . (1900, 1926, 1934) . .	3.846.000		9.471.000	20.279.000	12,5%
Niemcy	8.525.000	14.040.000	15.415.000	19:868.000	30,2%
Anglja, Szkocja, Wales, Irlandja . .	12.115.000	13.953.000	14.674.000	19.193.000	39,2%
Chiny	7.276.000	7.341.000	8.719.000	15.096.000	3,4%
Japonja i posiadłości	4.570.000	5.536.000	6.754.000	12.021.000	13,2%
Cesarstwo Indji . . , ...	6.502.000	7.134.000	8.329.000	10.260.000	2,9%
Włochy	3.387.000	4.134.000	5.085.000	7.172.000	17,4%
Francja	5.393.000	5.840.000	5.991.000	6.586.000	15,7%
Hiszpanja				3.465.000	14,7%
Polska	1.390.000	1.971.000	2.088.000	3.351.000	10,4%
Australja	1.259.000	1.658.000	2.286.000	3.233.000	47,5%
Argentyna	941.000	1.597.000	2.392.000		
Kanada	538.000	1.109.000	1.659.000	2.311.000	22 %
Holandja				2.158.000	27,2%
Austrja	1.813.000	2.183.000	1.999.000		
Egipt	.322.000	332.000	445.000	1.743.000	11,6%
Czehosłowacja	.311.000	350.000	897.000	1.475.000	10 %
Belgja , ...	1.180.000	1.355.000	1.388.000	1.446.000	17,9%

Nie wszędzie wykazany wzrost miast odpowiada faktycznemu przypływowi nowej ludności. Niekiedy wzrost wykazany statystycznie jest tylko wynikiem włączenia istniejących już dawniej osiedli i gmin do jakiejś innej gminy.

Nie zapominajmy o tem, że we wszystkiem dotychczas powiedzianem mowa jest tylko o powstawaniu praedyspozycji kryzysowej, a nie samych jeszcze kryzysów. Skutki takiej praedyspozycji mogą się oczywiście przejawiać silniej albo słabiej w zależności od licznego szeregu innych okoliczności. Jeżeli np. porównamy statystyki dotyczące Stanów Zjednoczonych i Rosji zauważymy analogję w forsowaniu powstawania wielkich miast. I tu i tam spotkamy pozatem wielką płynność stosunków zawodowych. Według poprzednich naszych rozważań należy się spodziewać, że Rosja posiada większą praedyspozycję kryzysową, aniżeli Stany Zjednoczone, gdyż ewolucję tę przechodzi w tempie znacznie gwałtowniejszem. To co w Stanach Zjednoczonych trwało 20 lat, usiłuje Rosja obecnie dokonać w 10 lat. Tymczasem widzimy w Stanach Zjednoczonych kilkanaście miljonów bezroboczych, w Rosji Sowieckiej natomiast znikli bezrobotni wogóle ze statystyk. Dlaczego tak jest? Bo w Ameryce była nadprodukcja, a w Rosji była produkcja za mała, bo poziom stopy życiowej w Stanach Zjednoczonych wyniósł się wysoko ponad minimum egzystencji, a w Rosji minimum egzystencji pokrywa się niemal z pojęciem zaspokojenia tylko prapotrzeb ludzkich; bo to, co w Rosji jest wobec gorszej jeszcze przeszłości bardzo poważną poprawą, dla Stanów Zjednoczonych stanowi granicę upadku kryzysowego, jaką tam sobie możnaby wyobrazić wogóle. Poprostu nie można obu krajów ze sobą porównywać, gdyż chwilowo należą jeszcze do zupełnie innej epoki gospodarczej każdy. Chcąc rozpatrywać stosunki obu krajów porównawczo w chwili obecnej musielibyśmy hipotetycznie założyć dla obu jednakowo silny wstrząs kryzysowy, np. wybuch rewolucji, lub wojny domowej między kierownikami każdego z obu państw. Nie ulega kwestji, że z braku obycia z życiem opartem na wynikach nowych zdobyczy technicznych, że z braku odpowiednich możliwości transportowych i komunikacyjnych wogóle, trudności kryzysowe Rosji w obecnej fazie rozwoju byłyby znacznie poważniejsze, od trudności kryzysowych Stanów Zjednoczonych.

Podobnie nie można porównywać np. Anglji z Australją, lub Francji albo Holandji z Australją. Australja bije rekord światowy pod względem odsetku ludności wielkomiejskiej. Posiada ona 77,3% ludności trudniącej się zawodami innemi, niż związane z rolnictwem, hodowlą, leśnictwem lub rybołóstwem, podczas gdy odnośna cyfra dla np. Stanów Zjednoczonych wynosi tylko 73,3%. Pomimo to ogarnęło w Stanach Zjednoczonych bezrobocie aż 9,9% ogółu ludności i 33,3% ludności wielkomiejskiej, podczas gdy w Australji bezrobocie objęło tylko 4,1% ogółu ludności lub 12,3% ludności wielkomiejskiej, w samej zaś Anglji cyfry te wynoszą ostatnio 6,7% i 17,5%, we Francji 0,8% i 3%, w Holandji 2,9% i 11%, i t. d. i t. d. Innemi słowy stosunki australijskie zupełnie nie podlegają nawet i w przybliżeniu wspólnym regułom z europejskiemi. I ta rozbieżność tłomaczy się okolicznościami statystycznie niewyrażalnemi. Australja nie jest krajem samodzielnym. Nie konkuruje ona na równych prawach z całym światem. jak inne wymienione kraje. Korzysta ona

z przywileju pierwszeństwa zbytu przed samodzielnemi państwami na obszarze całego imperjum brytyjskiego i nawzajem udziela częściom tego imperjum pierwszeństwa w dostawach.

Nie możemy również porównywać np. Niemiec lub Włoch z Anglją, Belgją, Holandją lub Francją, gdyż te kraje korzystają z rozszerzonych rynków zbytu i kupna w swoich rozległych kolonjach.

K R A J	Ogół bezrobotnych najwyższa cyfra kryzysowa w % ludości — ogólnej	Ogół bezrobotnych najwyższa cyfra kryzysowa w % ludości — wielkom.	W % ogółu ludności — nie należąca do rolnictwa, rybołóst. itd.	W % ogółu ludności — ludność wielkomiej.	Gęstość zaludnienia na klm. kw.	Iloczyn z cyfr rubry. D i E DxE=G
A.	B.	C.	D.	E.	F.	G.
Anglja, Szkocja, Irl. P.	6,4%	17,5%	92, %	39.2%	130,5	3,606
Belgja	2,4%	13,4%	80,7%	17,9%	265,8	1,445
Holanoja	2,9%	11, %	76,4%	27,2%	232,1	2,078
Francja	0,8%	5, %	61,6%	15,7%	76,0	967
Niemcy	8,7%	29, %	69,5%	30,2%	140,3	2,098
Włochy	2,7%	15,8%	44,3%	17,4%	132,8	771
Polska	1,7%	10,2%	23,8%	10,4%	85,0	248
Stany Zjednoczone . .	9,9%	33,3%	73,3%	28,8%	47,5	2,111

W tablicy pow., w pierwszej grupie państw tworzy każde dla siebie całość wysoce samowystarczalną, jeżeli weźmiemy pod uwagę także ich posiadłości kolonjalne. Pierwsza ta grupa posiada pozatem właśnie dzięki swoim posiadłościom kolonjalnym możność zdobywania nowych konsumentów, a zarazem kierowania ludzi bezrobotnych, zbędnych, na emigrację. Jest to w końcu grupa, której dobrobyt w znacznym stopniu pochodzi z cudzej pracy, z pracy kolonji.

Druga grupa państw podanych w tablicy pow. daleką jest od samowystarczalności i własną pracą musi kompensować stale swój przywóz z innych krajów. Nie posiada ona również możności swobodnej emigracji dla ludzi bezrobotnych, ludzi czasowo, lub wogóle zbędnych.

Stany Zjednoczone nie odpowiadają ogólnym warunkom ani grupy pierwszej, ani grupy drugiej. Cyfry statystyczne dowodzą tego samego. Stany Zjednoczone musimy rozpatrywać zupełnie a part, również i z tej przyczyny, że w Europie rolnictwo, rybołóstwo i t. p. zawody wykonywane są przedewszystkiem dla zaspokojenia własnych potrzeb pracujących, i na rynek handlowy oddawane są względnie niezbyt znaczne nadwyżki ponad te potrzeby. W Stanach Zjednoczonych rolnik i rybak są przedewszystkiem przedsiębiorcami w takim samym sensie, co i przemysłowiec fabryczny. Produkują oni przedewszystkiem w celu dostarczenia towaru na rynek handlowy, a potrzeby własne są zagadnieniem ubocznem, tak jak dla kopalni węgla jest ubocznem zagadnieniem zużycie własnego węgla na potrzeby ruchu i deputaty dla pracowników, jak dla stalowni własne żelazo jest tylko ubocznie przedmiotem zużycia i t. d. W Europie rolnictwo obejmuje, chociażby z racji uprawy płodozmianowej wielką bardzo rozmaitość artykułów równocześnie, zboża, strączkowe, okopowe, warzywa, owoce, hodowlę drobiu, rogacizny i nierogacizny i t. d. W Stanach Zjednoczonych istnieje daleko idąca specjalizacja. Gdybyśmy chcieli być ściśli, znaczną część rolnictwa amerykańskiego musielibyśmy zaliczyć do przemysłu, jako przemysłu produkcji zboża, bawełny, bydła i t. d.

Gospodarz wiejski nie może się utrzymać z samych tylko kartofli, z samego żyta, z samego mleka, samego mięsa.

W rezultacie tych różnic — brzmi to jak paradoks—nie można nie stwierdzić, że wieś Europejska posiada właściwie wyższy od wsi amerykańskiej poziom minimum egzystencji, rzecz jasna jeżeli będziemy rozpatrywali wieś jako całość, a nie poszczególnych jej mieszkańców. Podczas kryzysu bowiem wieś europejska nie przestaje konsumować chociażby trochę narzędzi rolniczych, trochę nawozów sztucznych, trochę opału, trochę materjałów budowlanych, trochę środków lokomocji, trochę odzieży i statków domowych. Wieś amerykańska zatrzymuje część mechanicznej trakcji, przestaje kupować nowe żniwiarki i młocarki, lub kopaczki, pola w kryzysie leżą odłogiem, inwestycyj nie robi się niemal żadnych, bo znaczna część farmerów siada wraz z rodzinami do auta i porzuca ziemię, jedzie do miasta szukać pracy. Właśnie wtedy, gdy kurczy się konsumcyjna pojemność rynku rolnego w Ameryce, na miejskim rynku pracy zjawia się dodatkowa podaż pracy. Jeżeli kryzys ma charakter wyłącznie jednozawodowy, rolniczy, miasta wchłaniają tę nową ilość rąk pracy, zatrudniając je na pokrycie coraz bardziej wygórowanej własnej stopy życiowej, na wzajemne oddawanie sobie coraz bardziej wyszukanych usług i świadczeń, nie bacząc na poziom stopy życiowej wsi, która się wyludnia. Gdy jednak kryzys nabiera cech ogólności, gdy zaczyna się okres ogólnej nagle oszczędności na czarną godzinę i konsumcja miejska, zamiast poważnie nadal rosnąć, zaczyna spadać, wtedy nie sposób pozbyć się nowych przybyszów, dopóki ich poziom stopy ży-

ciowej nie spadnie znowu tak bardzo, że opłaci im się, a zwłaszcza że będą musieli powrócić na rolę. Powrót z życia miejskiego do wiejskiego odbywa się znacznie oporniej, jak naodwrót.

W Europie olbrzymia większość rolników stara się wytrwać chociażby w nędzy na roli. Odpada conajmniej fala gwałtownej podaży nowej pracy na rynkach miejskich w czasach kryzysowych. Miejscem przetrwania kryzysu dla Europy jest wieś, dla Ameryki miasto.

Ta zupełnie odmienna mentalność życia amerykańskiego jest głównym czynnikiem, dla którego cyfry amerykańskie nie są z europejskiemi porównywalne.

* * *

Możemy teraz już streścić poprzednie wywody w krótkiej tezie, słuszność której udało się nietylko uprawdopodobnić, ale w granicach ścisłości i porównywalności danych statystycznych udowodnić: *Proces stałego pogłębiania się kryzysów jest w pewnym wyraźnym i poważnym związku funkcjonalnym z odsetkiem ludności zamieszkującym wielkie miasta, oraz z malejącym odsetkiem ludzi zatrudnionych przy produkcji na pokrycie potrzeb ludzkich, z postępującą coraz dalej specjalizacją w produkcji i wszelkich czynnościach gospodarczych.*

Jeżeli pragniemy powstrzymać bieg narastania kryzysów przed granicą katastrofy, musimy sharmonizować sposób podziału pracy oraz sposób osiedlania się z wymogami bezpieczeństwa antykryzysowego. Gęstość zaludnienia na proces pogłębiania się kryzysów nie wywiera wpływu nawet w przybliżeniu tak silnego, jak wzrost wielkich miast, oraz przesunięcia w podziale zawodowym i wzrost specjalizacji. Postęp techniki i wiedzy wpływ przyrostu naturalnego tymczasem znacznie wyprzedzają.

NOTATKI

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Istnieją działy życia publicznego, które nieustannie znajdują się pod obstrzałem podejrzeń — o korupcję. — Są to wszystkie te działy, w których zarobek i strata petenta, klienta lub strony nie są ściśle określone jakiemiś normami, jakiemś prawem, którego można dowieść, — lecz które pozostawione są uznaniu urzędnika.

Jeżeli nawet urzędnik jest w 100 proc. uczciwy jeżeli nawet niema śladu najmniejszego dla wysnuwania podejrzeń, strona, której żądanie załatwione zostało negatywnie, zwykle jest przekonana o jakichś nieczystych wpływach, które jej sprawę utrąciły.

Potocznym tematem rozmów w sferach, które często mają do czynienia z podobnemi sprawami, jest pytanie — „czy Pan nie zna drogi do urzędnika X?"

Taki stan rzeczy istnieje na całym świecie, gdzie tylko istnieje możliwość dowolności decyzji, zwłaszcza jeżeli prawa i przepisy ulegają szybkim przemianom i poprostu brak czasu na wytworzenie się naocznej obserwacyj, że dany urzędnik lub oficer nie wzbogaca się, nie wiedzie rozrzutnego trybu życia.

Pragnąc obronić honor urzędnika życie usiłuje ułatwić wszelkie wykrycie winy i ustanawia na winę taką niezmiernie wysokie kary. Jedynie wtedy, gdy każda wina łatwo może być wykryta lub nawet poprostu zgłoszona, gdy kara przewidziana jest nieproporcjonalnie większa od ew. korzyści z popełnionej winy, wtedy ludzie przestają wierzyć w prawdopodobieństwo winy, jeżeli nie obaczą namacalnego dowodu. To też uczciwi i mądrzy urzędnicy, czynni na podobnie eksponowanych stanowiskach, sami domagają się, by drogi dowodu ewentualnej winy nie były utrudniane a ułatwiane i by kary były jaknajbardziej bezwzględne. Tylko w taki sposób mogą się oni uchronić przed stęchłą atmosferą nieustannych podejrzeń, której na dłuższą metę pracy człowiek nerwowo nie byłby w stanie wytrzymać.

W ostatnich latach zakres prawem ściśle nie określonych funkcyj państwowych został rozszerzony b. poważnie. Część tych funkcyj Rząd przerzucił na samorząd gospodarczy, lub na ad hoc stwarzane ciała pseudosamorządowe. Pozbyto się w ten sposób zagadnień najbardziej drażliwych i pozbyto się odpowiedzialności. W ten sposób m. innymi i „dyktatura" nad handlem zagranicznym Polski przeszła w ręce mniej lub więcej prywatne i tylko wtajemniczeni orjentują się w tem od kogo jakie decyzje zależą. Dla zwykłej jakby formalności wszystkie decyzje przechodzą przez ręce kilku urzędników państwowych, którzy nie mogą ponosić odpowiedzialności, bo podpisami swemi muszą, — niewiedzieć poco — żyrować decyzje tych różnych zbiorowych, mglistych aparatów. Podpisów takich wypada dziennie na jednego urzędnika około 300, czyli na miesiąc 7500, a w roku 90.000. Rzecz jasna, że nadzór Rządu nad prywatną dyktaturą handlu zagranicznego w tych warunkach jest żaden, że odpowiedzialność za jej działalność ponosić powinien nie ów przez los urzędowy zamęczony i sponiewierany urzędnik państwowy, ale że odpowiedzialni być powinni urzędnicy tych wszystkich instytucyj i aparatów, które bezpośrednio daną pracę wykonywują, lub nią kierują.

Wystarczy przejść się po korytarzach przed Centralną Komisją Przywozu lub Towarzystwa Handlu Kompensacyjnego. Wystarczy zobaczyć długie ogonki ludzi wyczekujących i usłyszeć od ilu tygodni sprawy ich nie są załatwiane. Wystarczy poznać twarze różnych osób, pań i panów stale i niezmiennie po korytarzach tych krążących by poznać w nich zawodowców interwencji.

I jeżeli w korytarzach urzędu człowiek najbardziej wzburzony trzyma język za zębami dopóki nie udowodni winy, to tutaj aż szumi od różnych szeptów i aluzji. Kara za oszustwo grozi i tam i tu,

więc wszystko ukrywa się w dwuznacznikach, ale błysk oczu, uśmiech nieokreślony ruch ramion lub głową stwarzają plastyczną wykładnię, na którą przed żaden sąd nie można być postawionym. Nuance są zbyt subtelne.

Dlaczego taka różnica w zachowaniu tam i tu? Poprostu dlatego, że klient tych instytucyj rozumuje logicznie. Tutaj możnaby uprawiać korupcję bez ryzyka. Tutaj zażalenie, dowod prawdy nie pociągnęłoby za sobą żadnej innej konsekwencji poza utratą posady przez człowieka, który jej już nie potrzebuje, bo się już „dostatecznie obłowił". Mój interes jest za drobny by opłacało się na mnie próbować tych sposobów, ale właśnie dlatego muszę czekać. Ale gdybym miał interes wielki i mógł płacić, załatwianoby mnie poza kolejką od ręki, bez czekania. Bo w prywatnem życiu za korupcję niema kary, może być tylko i conajwyżej odpowiedzialność cywilna. Taka się wytwarza opinja bez żadnych dowodów i poszlak, tak powstaje atmosfera prowadząca dopiero do korupcji.

Kto pragnie, by handel zagraniczny nie wrastał coraz głębiej w atmosferę podejrzeń korupcyjnych, ten musi dbać o dwie rzeczy: 1) o odpowiedzialność karną wszystkich tych czynników, które się spraw tych tykają, — takąsamą jaka grozi urzędnikom państwowym, 2) o bardziej szybkie i sprawne załatwianie spraw by interwencje o pośpiech nie były potrzebne, by nie byli potrzebni, az zawodowi interwencjoniści.

Wł. Diamand.

AWANSE

Istnieje w Polsce — większa, niż gdziekolwiek — masa urzędnicza. Grupuje ona w sobie setki tysięcy urzędników wszelakiego autoramentu: państwowych, samorządowych, ubezpieczeniowych, prywatnych. W administracji i szkolnictwie ok. 150.000 osób, w sądownictwie niespełna 4.000, na P. K. P. blisko 140.000, na poczcie etc. 28.000, ubezpieczonych zaś w Z.U.P.U. ok. 280.000. Armja urzędnicza liczy w Polsce chyba z 600.000 ludzi, a więc mniej więcej tyle, ile zatrudnia górnictwo, hutnictwo i przemysł przetwórczy razem wzięte albo jedno tylko rzemiosło.

Ile zarabiają szeregowi i podoficerowie wspomnianej przed chwilą armji? Zarobki urzędnicze w ¾ nie przekraczają 250 zł. miesięcznie i to licząc brutto; dochody netto są nieco niższe, tak, że górna granica zarobku przeciętnego pracownika umysłowego (o ile listonosz lub konduktor da się pod to pojęcie podciągnąć) oscyluje ok. 200 zł. w stosunku miesięcznym. Nie jest to zbyt wiele, a w żadnym razie nie jest to uposażenie nadmierne, aczkolwiek roczny dochód małorolnego może być równy przytoczonym przed chwilą uposażeniom — miesięcznym.

Nie to jednak jest ważne, ile zarabia urzędnik w Polsce. W biednym kraju i urzędnik może być niezamożny. Problem zdaje się leżeć gdzieindziej. Czem dla chłopa szansa powiększenia ojcowizny przez dokupno choćby małego kawałka gruntu, tem dla urzędnika — szansa w uzyskaniu wyższego stanowiska, wyższego „szczebla" w t. zw. karjerze, wyższej grupy uposażeniowej. W tem dążeniu do góry, chociażby to wydawało się śmieszne lub nieważne, tkwi motor działania olbrzymiej części masy urzędniczej. Odebrać typowemu urzędnikowi nadzieję na taki czy inny awans osobisty, będący zarazem awansem społecznym, jest to zabić w nim skromną radość życia, pobudkę doskonalenia się, dźwignię postępu, optymizm, wydajność pracy etc.

A co się w Polsce czyni, by uwzględnić tę naturalną i masową tendencję 600.000-nej masy urzędniczej? Może Państwo daje dobry przykład? Gdzie tam! W oparciu się o stan budżetu najpierw zamknięto drogę do awansu, następnie dokonano słynnego „zaszeregowania" (wdół!...), wreszcie otwarto furtkę, godząc się na awansowanie corocznie nie wyżej, jak 4% stanu osobowego. Innemi słowy awans raz na 25 lat, a ponieważ mało kto przepracuje lat 50, więc w ciągu swej najdłuższej karjery może się posunąć w najlepszym razie aż o dwa szczeble ku górze.

W konsekwencji utyskuje się na biurokrację...

br.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. „Zawodowa", ul. Długa 30, tel. 11.53-01.